

Nie ma nazw przypadkowych

Człowiek pogranicza

Rozmowa z prof. Bazylim Tichoniukiem
specjalistą z językoznawstwa wschodniosłowiańskiego,
znawcą pochodzenia nazw na obszarze północno-wschodniej Polski

W maju Prezydent RP podpisał akt nadania Panu tytułu naukowego profesora. W czerwcu, podczas uroczystości wręczania aktów nominacyjnych 58 polskim uczonym, odebrał Pan swój profesorski dyplom. Gratuluję. Słyszałem o Panu opinię, że jest Pan człowiekiem pogranicza – nie tylko narodowego, ale i kulturowego, naukowego, pokoleniowego. Ale o tym za chwilę. Proszę powiedzieć, jaka była Pana droga życiowa do momentu ukończenia studiów.

Istotnie. Urodziłem się na pograniczu wielokulturowym. W szkole średniej uważano mnie za Litwina tylko dlatego, że moja rodzina miejscowość znajdowała się poza granicą Podlasia, i mimo że były to dawne tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego, to miejscowe gwary nie miały nic wspólnego z językiem litewskim. Co do nauki. Szkołę średnią (liceum) ukończyłem w Hajnówce. Moje ówczesne zainteresowania były różnorodne, ze wskazaniem na matematykę i plastykę. Ostatecznie wybrałem Studium Nauczycielskie

w Ełku, decydując się na specjalność: rysunek i prace ręczne. Pierwsza moja praca zawodowa (z tzw. nakazu) miała miejsce w szkole podstawowej w Hajnówce. W tym okresie zaprojektowałem, do dziś obowiązujący, herb tego miasta. Pragnąłem jednak kontynuować naukę. Aby się kształcić musiałem zrezygnować z, dającej mi satysfakcję, pracy. Studia dzienne podjąłem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. W tym czasie filologia rosyjska była tylko w 5 uczelniach, umiejscowionych (poza Warszawą) w południowej części kraju. Właściwie to pragnąłem studiować architekturę, ale, za namową kolegi, który wybierał się do Opolu, tam właśnie podjąłem studia.

A jak przebiegała kariera naukowa?

Zaraz po studiach zaproponowano mi asystenturę na WSP. Po kilku latach, tj. w roku 1976, ożeniłem się, a dokładnie rok później urodziła się moja jedyna córka. Żona polonistka, również pracownik naszej uczelni,

towarzyszy mojej drodze naukowej od początku, tj. od czasów, gdy byłem jeszcze magistrem. W Opolu pracowałem nieprzerwanie aż do 1990 roku, przy czym ostatni rok już dojeżdżałem z Zielonej Góry. W macierzystej uczelni zdobywałem kolejne stopnie naukowe. W grudniu 1977 r. doktoryzowałem się na podstawie dysertacji *Nazwy terenowe byłych powiatów: bielskiego, hajnowskiego i siemiatyckiego*. Moim promotorem był sławny polonista prof. Henryk Borek. Habilitację natomiast obroniłem 1 czerwca 1988 roku. Praca nosiła tytuł *Antroponimia południowej Białostoczczyzny w XVI wieku*. Po habilitacji miałem kilka interesujących propozycji zatrudnienia z różnych ośrodków naukowych. Wyjazd z Opolu spowodowany był chorobą córki (alergią na cement). Zieloną Górę wybrała raczej moja rodzina, a nie ja sam. Po prostu, po rodzinnych wycieczkach do kilku miast, mających na celu wybranie nowego miejsca zamieszkania, moje panie zauroczone Zieloną Górą zdecydowały, że



TO MOMENT,
O KTÓRYM MARZY KAŻDY NAUKOWIEC
PROFESOR BAZYLI TICHONIUK
W CZERWCU ODEBRAŁ
Z RĄK PREZYDENTA RP
NOMINACJĘ PROFESORSKĄ

osiądzimy tutaj. No i mieszkamy w Zielonej Górze od 1989 roku. Osobiście wolałem rodzinne strony jako teren badań naukowych.

Od 12 lat jest Pan dyrektorem Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej. Jednej. Zawsze sądziłem, że badania filologiczne są ściśle związane z językiem narodowym – a filologii wschodniosłowiańskiej jest właśnie tyle, ile wschodnich języków słowiańskich. Czyba, że chodzi o porównawcze badania filologiczne.

Nazwa Instytutu zawiera m.in. informację dotyczącą tematyki badań podejmowanych przez naszych pracowników. Obejmują one nie tylko język i literaturę rosyjską, lecz także białoruską i ukraińską. Studentów jednak kształcimy jedynie na filologii rosyjskiej.

Rzeczpospolita Obojga Narodów to podobno najlepszy okres w dziejach Polski. Czy studentom przekazuje się w waszym Instytucie elementy historii narodów, których tak wiele wchodziło w jej skład – i która tak mocno warunkuje rozwój języka?

Zacznę od pewnej, mało znanej ciekawostki, że językiem państwowym Wielkiego Księstwa Litewskiego do XVII wieku był język starobiałoruski, zwany potocznie litewskim lub ruskim, co nie ma żadnego odniesienia do współczesnego rosyjskiego czy litewskiego. Wyróżnik „litewski” dodawano w owym okresie dość powszechnie do nazw terenu obecnej Białorusi. Np. Jerzy Giedroyc jako miejsce swojego urodzenia podawał zawsze Mińsk Litewski, (a wiemy, że stolica Białorusi nazywa się Mińsk, bez dookreśleń, a już z pewnością obecnie nie dodawano by „Litewski”). W naszej świadomości narodowej miana „Litwa”, „Litwin” zostały znacznie zawężone. W okresie międzywojennym endecja zaliczała język białoruski do gwar języka polskiego, ponieważ granice narodowe wyznaczała religia, a nie kultura i język.

Odpowiadając na drugą część pytania. Tak, naturalnie. Naszym studentom wpajamy wiedzę o historii narodów słowiańskich, wchodzących w skład dawnej Rzeczpospolitej.

To w takim razie powiedzmy sobie o najważniejszych cechach języków wschodniosłowiańskich. Czym istotnym różnią się od języka polskiego?

Generalnie na pierwszym miejscu fonetyką (ruchomy akcent, pełnogłos), no i oczywiście słownictwem. Gramatyka natomiast ma dużo cech zbieżnych.

Zajmuje się Pan onomastyką, badając pochodzenie nazw własnych (imion, miejscowości) południowej Białostoczczyzny. Nauka

ta musi zbadać problem w ujęciu historycznym. Czy każda nazwa ma jakąś etymologię, źródłosłów, czy są i takie, które są „pustym” dźwiękiem, bo tak się komuś podobało?

Nie ma nazw przypadkowych. Wszystkie są raczej umotywowane historycznie, geograficznie, kulturowo i językowo. „Widzimi się” nazewnictwo to cecha naszych czasów. Na teren onomastyki wkroczyła polityka, której towarzyszy nieznajomość praw tworzenia tzw. imion własnych przez decydentów kształtujących owe nowe nazwy. Dotyczy to zwłaszcza nazw ulic. „Radosną” twórczość radnych na tym polu widać na przykładzie wszystkich miast polskich, w tym także i Zielonej Góry. Interesuje mnie dlaczego tak niefrasobliwie wymyślają przedziwne nazwy, nie konsultując się ze specjalistami, mając ich na miejscu.

Co zatem jest podstawowym narzędziem Pana pracy?

Są to archiwa (głównie zagraniczne), z których czerpię nie tylko materiał onomastyczny, ale i prawdziwą wiedzę historyczną. Mankamentem tej pracy jest to, że wymaga benedyktyńskiej cierpliwości przy odczytywaniu (by nie powiedzieć rozszyfrowywaniu) starych, oryginalnych dokumentów, np. z XV i XVI wieku lub ich kopii.

Są tacy, którzy twierdzą, że ich język ma wyższą kulturę, bo za nim stoją na przykład wyższe osiągnięcia cywilizacyjne.

Cywilizacja jest bardzo szerokim pojęciem. To nie tylko technika i gospodarka, ale przede wszystkim historia, kultura, moralność, obyczaje, etyka. Nie można wartościować kultur narodowych, choć oczywiście mają one różne oblicze.

Kultura europejskiego Wschodu to dorobek choćby Dostojewskiego, Tolstoja, Bulhakowa i wielu, wielu innych (żeby ograniczyć się do literatury). Tymczasem, zwłaszcza po upadku komunizmu u nas w Polsce, modne było obnoszenie się z wielkopańską pogardą dla całego Wschodu. Czy to zjawisko – Pańskim zdaniem – zanika, czy jest przeciwnie?

Moim zdaniem lekceważenie mieszkańców państw byłego ZSRR, graniczących z naszym krajem od wschodu, słabnie. Im wyższa kultura jednostki i społeczeństwa, tym mniej takich negatywnych zjawisk. Nowe czasy wymagają nowych postaw i zachowań.

Co Pan może powiedzieć o ich stosunku do Polaków? Nie mówię tu o oficjalnych kontaktach politycznych czy gospodarczych.

Stosunek Słowian wschodnich do Polaków jest niewspółmiernie lepszy niż nasz do

nich. Ludzie Wschodu cenią nas za kulturę osobistą, za poczucie narodowe i za słowiańską duszę. Nawet za naszą niepokorność oraz fantazję.

A jakie macie kontakty z ośrodkami na Wschodzie?

Współpracujemy z Uniwersytetem im. A. Hercena w Sankt Petersburgu, Instytutem Języka i Literatury Rosyjskiej im. A. Puszkina w Moskwie, Państwowym Uniwersytetem w Witebsku i Uniwersytetem Pedagogicznym w Tarnopolu. Indywidualne kontakty pracowników są dużo szersze, obejmują one kontakty ze slawistami Europy Zachodniej i nie tylko.

Co uważa Pan za swój największy sukces naukowy?

Moim największym sukcesem jest rodzina – żona Elżbieta i córka Ewa. W nauce natomiast to, że moje prace naukowe wyszły poza granicę kraju. Nazwisko moje znajduje się np. w wydanym w 1995 roku w Mińsku podręczniku akademickim prof. L. Szakuna *Historia językoznawstwa białoruskiego*. Mój głos na III Międzynarodowym Kongresie Białorutenistów w roku 2000 stał się przyczynkiem do wniosku Komisji Językoznawstwa Akademii Nauk Białorusi do władz państwowych o reaktywowanie tzw. łacinki białoruskiej w kontaktach międzynarodowych, szczególnie w zapisywaniu białoruskich nazw własnych. W tym samym roku ukazała się, przyjęta z dużym uznaniem przez specjalistów, moja kolejna monografia *Imiona i ich formy na pograniczu polsko-białoruskim od XVI wieku do roku 1839*.

A jakie są Pana pasje i zainteresowania pozazawodowe?

Ubolewam nad tym, ale nie mam czasu wolnego. Chciałbym go nawet kupić, gdyby było to możliwe. Żałuję, że nie mogę wrócić do swoich ulubionych akwareli.

A nie ciągnie Pana Profesora w rodzinne strony?

Rozważam taką możliwość, szczególnie w ostatnim okresie. W tym roku na pewno będę poważnie rozpatrywał tę ewentualność. Tym bardziej, że żona już się pogodziła z perspektywą przeprowadzki, córka zaś wyklada na uniwersytecie oddalonym o 350 kilometrów, i z pewnością z innego miejsca zamieszkania będziemy mieć łatwiejszy do niej dojazd, a ona do nas. Poza tym ze smutkiem zauważam, że kadra profesorska w naszym Uniwersytecie zaczyna być niedoceniana. Fakt, że nie mówi się o tym głośno wcale nie oznacza, że problemu nie ma.

rozmawiał Andrzej Politowicz